

Obywatelskie nieposłuszeństwo

Henry David Thoreau

1849

W pełni aprobuje zasadę: “Najlepszy rząd to taki, który najmniej rządzi”, i chciałbym doczekać chwili, gdy ową zasadę szybciej i bardziej systematycznie wprowadzi się w życie. Urzeczywistniona, sprowadza się w końcu do następnej zasady też w moim pojęciu słusznej: “Najlepszy jest taki rząd, który w ogóle nie rządzi”. I takiemu właśnie rządowi będzie ludzkość podlegała, gdy do tego dojrzeje. Rząd to, w najlepszym wypadku, jedynie wygodny kompromis: zazwyczaj jednak większość rządów — a niekiedy wszystkie — jest niewygodna. Te same liczne i poważne zastrzeżenia, które wniesiono przeciwko stałej armii, można ostatecznie wnieść także przeciw stałemu rządowi. I powinny one zatriumfować. Stała armia to jedynie broń stałego rządu. Rząd jest tylko organem wybranym przez naród, aby wypełniał jego wolę. Zanim jednak naród zdąży go w swych celach wykorzystać, organ ten dokonuje nadużyć i ulega deprawacji. Doskonale zjawisko owo ilustruje obecna wojna z Meksykiem — dzieło stosunkowo małej liczby ludzi, którzy posłużyli się stałym rządem jako narzędziem: albowiem naród nigdy nie przystałby na jej rozpętanie.

Czymże jest obecny rząd amerykański, jak nie tradycją tylko, i to całkiem niedawną? Usiłuje on przekazać siebie potomności w stanie nienaruszonym, a tymczasem z każdą chwilą traci coś ze swojej integralności. Jego żywotność i siła nie dorównują żywotności i sile jednego człowieka, jeden bowiem człowiek jest w stanie nagiąć go do swojej woli. Dla samych zaś ludzi jest czymś w rodzaju drewnianej armaty. To jednak nie powód, aby stał się mniej im potrzebny, jako że ludzkość potrzebuje takiej czy innej skomplikowanej maszyny, aby słuchając jej łoskotu, zaspokoić swoje wyobrażenie o rządzie. Przeto wszelkie rządy mogą służyć za przykład, jak łatwo można ludzi naciągać, jak łatwo nawet ludzie sami siebie nabierają mając na uwadze własne korzyści. Wszyscy musimy przyznać, że to niebываłe. Wszelako obecny rząd nigdy sam nie popierał żadnych przedsięwzięć inaczej, jak tylko przez ochocze usunięcie się im z drogi. Nie on zapewnia państwu wolność. Nie on kolonizuje Zachód. Nie on daje wykształcenie. Wszystko, czego dokonaliśmy, dokonaliśmy dzięki cechom charakteru właściwym Amerykanom. Osiągnęliśmy jeszcze trochę więcej, gdyby rząd nie wchodził nam czasami w drogę. Albowiem rząd jest kompromisem, dzięki któremu ludzie chętnie pozostawiają sobie nawzajem w spokoju, i, jak już powiedziano, wówczas rząd jest najwygodniejszy, gdy jego obywatele korzystają z największej swobody. Gdyby handel nie był z indyjskiej gumy, nigdy nie zdołałby przeskoczyć przeszkód, które ustawodawcy ciągle rzucają mu pod nogi. A gdyby ktoś zechciał osądzać tych ludzi tylko na podstawie rezultatów ich poczynań, nie zważając na ich intencje, musiałby zaliczyć ich do tej samej kategorii, co owych złośliwych osobników, którzy tarasują zaporami tory kolejowe, i musiałby ich w ten sposób ukarać.

Jednakże wypowiadając się z praktycznego i obywatelskiego punktu widzenia, a nie z pozycji tak zwanych przeciwników rządu, nie proszę o to, aby natychmiast rząd zlikwidować, lecz o to, aby go natychmiast ulepszyć. Gdyby wszystkim ludziom postawiono pytanie, jaki rząd wzbudzałby ich szacunek, postąpiono by jeden krok naprzód w kierunku stworzenia takiego właśnie rządu.

Gdy władza znajduje się w rękach narodu, wtedy tak zwana większość upoważniona jest do rządzenia i przez długi czas z tego upoważnienia korzysta, a dzieje się tak nie dlatego, że rację ma najprawdopodobniej większość, ani też dlatego, że taki układ wydaje się

najbardziej sprawiedliwy wobec mniejszości, lecz dlatego, że większość jest fizycznie najsilniejsza. Taki jednak rząd, w którym wszystkie decyzje zależą od większości, nie może się opierać na sprawiedliwości, choćby tylko takiej, jak pojmuje ją człowiek. Czyż nie mógłby powstać taki rząd, w którym rzeczywista decyzja o tym, co dobre, a co złe nie będzie zależała od rządzącej większości, ale od sumienia? W którym większość zadecydowałaby tylko tam, gdzie można zastosować zasadę wygodnego kompromisu? Czy obywatel powinien – choćby tylko na chwilę, choćby w najmniejszym stopniu – podporządkowywać swoje sumienie prawodawcy? Po co w takim razie każdy człowiek ma sumienie? Myślę, że nade wszystko powinniśmy być ludźmi, dopiero zaś potem obywatelami. Należy kultywować szacunek dla sprawiedliwości, a nie dla prawa. Jedynym obowiązkiem jaki mam prawo wziąć na siebie, jest postępowanie uważane przeze mnie w danej chwili za stosowne. Wiele prawdy kryje się w powiedzeniu, że korporacja jest bez sumienia; ale gdy tworzą ją ludzie prawi, sama też ma sumienie.

Prawo nigdy w najmniejszym stopniu nie wpływało na to, że ludzie stawali się bardziej sprawiedliwi. Przeciwnie, szacunek, jakim ludzie je darzą, powoduje, że nawet ci sprawiedliwi stają się na co dzień niesprawiedliwi. Bezpośrednim i naturalnym rezultatem przesadnego szacunku dla prawa jest sytuacja żołnierzy, których szeregi – pułkownik, kapitan, kapral, szeregowcy, chłopcy donoszący ładunki i cała reszta – widuje się maszerującą na wojnę przez wzgórze i doliny w godnym podziwu szyku, ale na przekór własnej woli, ba, nawet na przekór własnemu zdrowemu rozsądkowi i sumieniu. Toteż maszerują naprawdę bardzo szybko, co z kolei powoduje palpacje serca. Nie mają żadnych wątpliwości, że sprawa, której udzielają poparcia, zasługuje na potępienie, wszyscy bowiem są z usposobienia pacyfistami. Za kogo więc ich uważać? Czy są w ogóle ludźmi? Czy może małymi ruchomymi fortami i magazynami w służbie jakiegoś pozbawionego skrupułów człowieka u władzy? Pojedźmy obejrzeć doki naszej marynarki, a zobaczymy, jak wygląda żołnierz piechoty morskiej – takiego właśnie człowieka może ukształtować amerykański rząd, może go ukształtować przy pomocy swojej czarnej magii; to zaledwie cień przypominający stworzenie ludzkie, człowieka, którego już za życia, w pozycji stojącej, ubrano do trumny i, można by rzec, pogrzebano z wojskowymi honorami oraz ze wszystkimi pogrzebowymi szykanami i akompaniamentami, choć może być i tak:

 Nie ozwał się ni bęben, ni ton pogrzebowy,
 Kiedy z jego ciałem spieszyli na szaniec:
 A nad mogiłą, gdzieśmy mu złożyli głowę,
 żaden żołnierz nie wypalił na pożegnanie.

Wielu zatem obywateli ofiarowując swoje ciało państwu służy mu nade wszystko jako maszyny, a nie jako ladzie.

Mam na myśli stałą armię, milicję, strażników więziennych, posterunkowych, posse comitatus, i tym podobnych. W większości przypadków nie kierują się ani rozsądkiem, ani pobudkami moralnymi: sami siebie traktują jak drewno, ziemię i kamienie: a przecież ludzi drewnianych można by po prostu ciosać z pnia i też spełnialiby te same funkcje, co owi

obywatele, wzbudzający nie większy szacunek niż kukły czy sterta śmieci. Są tyle samo wari, co konie lub psy. Mimo wszystko jednak uważa się ich powszechnie za dobrych obywateli. Inni – to znaczy większość ustawodawców, polityków, prawników, ministrów i naczelników urzędów – służą państwu głównie swoimi głowami. A ponieważ rzadko kiedy kierują się pobudkami moralnymi, mogliby równie dobrze służyć szatanowi nie mając tego zamiaru, jak i Bogu. Niewielu tylko – do nich zaliczam bohaterów, patriotów, męczenników, wielkich reformatorów i ludzi – służy państwu także swoimi sumieniami, toteż w większości przypadków z konieczności mu się przeciwstawia. I tych państwo powszechnie traktuje jako swoich wrogów. Mądry człowiek chce być pożyteczny tylko jako człowiek, więc nie zniża się do roli gliny, „którą przed wiatrem chłop zatkał szczelinę”, funkcję tę pozostawi swoim prochom:

Nadtom wysoko zrodzon, bym miał zostać
Cudzą własnością, podwładnym, w opiece
Lub posługaczem sprawnym i narzędziem
Jakiegokolwiek państwa w świecie całym.

Człowiek, który bez reszty oddaje się swoim towarzyszom, uważany jest przez nich za nieuczynnego samoluba. Ten jednak, kto poświęca się im tylko częściowo, ma opinię dobroczyńcy i filantropa. Jaką postawę powinien przyjąć człowiek wobec terażniejszego rządu amerykańskiego? Moja odpowiedź brzmi: wszelkie powiązania z nim są hańbiące. Ani na chwilę nie jestem w stanie uznać za mój rząd tej organizacji politycznej, która jest jednocześnie rządem popierającym niewolnictwo.

Wszyscy ludzie uznają prawo do rewolucji, to znaczy prawo do odmowy posłuszeństwa oraz prawo do występowania przeciwko rządowi, kiedy jego tyrania albo nieudolność przybierają zbyt wielkie rozmiary i stają się nie do zniesienia. Lecz, jak prawie wszyscy twierdzą, nie to jest obecnie problemem. Uważają, że to problem Rewolucji 1775 roku. Gdyby ktoś mi powiedział, że ówczesny rząd był złym rządem, ponieważ nakładał podatki na niektóre zagraniczne towary przybywające do naszych portów, pewnie bym nie robił hałasu wokół tej sprawy, mogę się bowiem bez owych towarów obyć. Praca każdej maszyny wiąże się z wytwarzaniem tarcia i, był może, właśnie dzięki niemu powstaje dość dobroci równoważącej zło.

W każdym razie robienie szumu wokół tej sprawy wyrządza wiele zła. Kiedy jednak tarcie opanowuje bez reszty swoją maszynę i powoduje zorganizowany ucisk oraz rozbój, wtedy, uważam, taka maszyna jest już dla nas bezużyteczna. Innymi słowy, kiedy jedną szóstą ludności narodu, który postanowił dawać schronienie uciemiężonym, stanowią niewolnicy, i kiedy kraj zalany zostaje i podbity bezprawnie przez cudzoziemską armię oraz podporządkowany prawu wojskowemu, wówczas, jak sądzę, nadchodzi pora, aby uczciwy człowiek burzył się i wywoływał rewolucję. A przedsięwzięcie to wydaje się tym bardziej palące, że kraj w ten sposób podbity nie jest naszym własnym krajem, mimo że nasza jest przecież okupująca go armia.

Paley, popularny wśród wielu autorytet w dziedzinie moralności, w jednym z rozdziałów "Obowiązku podporządkowania się rządowi obywatelskiemu", sprowadza całość obywatelskich powinności wyłącznie do zasady wygodnego kompromisu. Dalej zaś posuwa się do stwierdzenia, że: "tak długo, jak wymaga tego interes całego społeczeństwa, to znaczy dopóki tworzenie opozycji lub zmiana ustanowionego rządu ściągać będą nieszczęścia na całe społeczeństwo, wolą Bożą jest... posłuszeństwo ustanowionemu rządowi — ale nie dłużej. Jeśli przestrzega się tej zasady, słuszność wszelkich wystąpień antyrządowych sprowadza się do porównawczych obliczeń wielkości niebezpieczeństw i krzywd z jednej strony oraz prawdopodobieństwa i kosztów przywrócenia równowagi z drugiej strony". A to, jak twierdzi, każdy sam sobie obliczy.

Wydaje się jednak, że Paley nigdy nie rozpatrywał takich przypadków, w których nie stosuje się zasady wygodnego kompromisu, w których tak naród, jak i indywidualni ludzie muszą postępować sprawiedliwie, bez względu na koszty. Gdybym postąpił niesprawiedliwie wyrywając deskę z rąk tonącego, musiałbym mu ją zwrócić, chociaż sam bym utonął. To zaś, według Paleya, byłoby niedogodne. Ten jednak, kto w takiej sytuacji uratowałby swoje życie, właściwie by je przecież stracił. Naród nasz musi znieść niewolnictwo i przetrwać wojnę z Meksykiem, choćby miał za to zapłacić swoim istnieniem jako naród. W praktyce narody zgadzają się z Paleyem, ale czy znajdzie się ktoś, kto uważa, że Massachusetts postępuje słusznie w czasie obecnego kryzysu?

Państwowa dziwka, flądra w jedwabiu i złocie,
Chcą za nią tren nieść, duszę włócząc w błocie.

Na dobrą sprawę, przeciwnikami reform w Massachusetts nie jest sto tysięcy polityków na Południu, ale sto tysięcy tutejszych kupców i farmerów, którzy interesują się głównie handlem i rolnictwem, a nie ludzkością i którzy nie dorośli do tego, aby bez względu na koszty, postępować sprawiedliwie z niewolnikami i Meksykanami. Nie spieram się z wrogami zamieszkującymi odległe okolice, lecz z tymi którzy tak blisko domu współpracują z owymi dalekimi wrogami i składają im oferty: z tymi, bez których ci ostatni byłiby nieszkodliwi. Zwykliśmy twierdzić, że masy ludzkie nie dojrzały do zmian: postęp zachodzi powoli, ponieważ mniejszość nie jest o wiele mądrzejsza ani lepsza od większości. To nie tak znowu ważne, aby większość dorównywała dobrocią tobie: ważne jest to, żeby gdzieś istniała jakaś absolutna dobroć, dopiero bowiem ona może wzniecić ferment wśród wszystkich. Istnieją tysiące ludzi, którzy są w przekonaniu przeciwnikami niewolnictwa i wojny, ale w praktyce nie robią nic, aby położyć im kres, którzy, uważając się za spadkobierców Washingtona i Franklina, siedzą z założonymi rękami i twierdzą, że nie wiedzą, co mają robić, którzy nawet kwestię wolności podporządkowują problemowi wolnego handlu i spokojnie studiując po obiedzie cenniki i ostatnie doniesienia z Meksyku zasypiają, być może, nad jednymi i drugimi. A co stanowi obecnie cennik człowieka uczciwego i patrioty? Wahają się, żałują i czasem wnoszą petycję, lecz nie działają ani z przekonaniem, ani efektywnie. Czekają z ochotą na innych, aby tamci naprawili zło, nad którym sami już więcej nie będą musieli

ubolewać. W najlepszym razie służą tylko swoim bezwartościowym głosem i słabym poparciem oraz życzą szczęśliwej drogi mijającemu ich prawu. Na jednego sprawiedliwego człowieka przypada stu dziewięćdziesięciu dziewięciu orędowników sprawiedliwości. Lecz łatwiej jest mieć do czynienia z rzeczywistym posiadaczem jakiejś rzeczy aniżeli z tymczasowym jej strażnikiem.

Każde głosowanie jest rodzajem gry, jak warcaby czy trik-trak, i ma lekki posmak moralny, jest igraniem tego, co słuszne, z tym co niesłuszne, sposobem rozgrywania problemów moralnych, którym to rozgrywkom towarzyszą, oczywiście, zakłady. Charakter głosujących nie wchodzi w rachubę. Może i oddaję głos na coś, co uważam za słuszne, ale nie jestem żywotnie zainteresowany tym, aby właśnie ta racja zatriumfowała. Mam ochotę pozostawić tę kwestię większości. Dlatego też jej zobowiązania nigdy nie wykraczają poza zasadę wygodnego kompromisu. Nawet głosowanie za danym prawem nie jest rzeczywistym jego popieraniem. Jest tylko delikatnym sygnalizowaniem ludziom, że pragnęłoby się, aby owa racja zatriumfowała. Mądry człowiek nie rzuci jej na pastwę miłosierdzia losu ani nie zapragnie, aby zatriumfowała dzięki potędze większości. W działaniu mas niewiele kryje się prawości. Kiedy większość będzie nareszcie głosowała za zniesieniem niewolnictwa, zrobi to tylko dlatego, że problem ów będzie jej całkowicie obojętny, albo dlatego, że pozostaną jej do zniesienia jedynie resztki niewolnictwa. Ci tworzący większość będą wówczas jedynymi niewolnikami. Tylko ten człowiek może przyspieszyć zniesienie niewolnictwa, który przy pomocy oddawanego głosu dowodzi swojej wolności.

Słyszałem, że w Baltimore, czy też gdzie indziej, odbędzie się zjazd mający na celu wybór kandydata na fotel prezydencki. Wezmą w nim udział głównie wydawcy i ludzie zajmujący się polityką. Zastanawiam się jednak, jaki wpływ będzie miał na podjętą przez nich decyzję człowiek niezależny, inteligentny i cieszący się powszechnym szacunkiem. Czy mimo wszystko nie powinniśmy wykorzystać jego mądrości i uczciwości? Czy wolno nam nie zważać na głosy niezależnych? Czyż w kraju nie ma dużej liczby ludzi, którzy nie biorą udziału w zjazdach? Tymczasem wszystko odbywa się inaczej. Otóż tak zwany godny szacunku człowiek natychmiast usuwa się biernie ze swojej pozycji i rozpacza po ojczyźnie, podczas gdy to ojczyzna miałaby więcej powodów, aby rozpaczać po nim. Następnie człowiek ów niezwłocznie popiera jednego z wybranych przez zjazd kandydatów jako jedynego odpowiedniego, czym tylko udowadnia, że stał się narzędziem w rękach demagoga. Głos jego nie ma większej wartości aniżeli głos jakiegoś pozbawionego zasad moralnych cudzoziemca czy najmniej tubylca, prawdopodobnie przekupionego. Brawa dla człowieka, który jest człowiekiem i który, jak powiada mój sąsiad, ma twardy i sztywny kręgosłup! Statystyki nasze się mylą: liczba ludności, jaką podają, jest zbyt wielka. Ilu ludzi przypada w naszym kraju na tysiąc mil kwadratowych? Trudno nawet o jednego człowieka. Czyż Ameryka nie stara się zwabić przybyszy aby się tutaj osiedlali? Amerykanin zwyrodniał do pojęcia członka Towarzystwa Wzajemnej Pomocy — takiego, którego można poznać po rozwoju organu przystosowania do życia stadnego, po rzucającym się w oczy braku intelektu oraz po ochoczym poleganiu na samym sobie, którego pierwszą i główną troską z chwilą przyjscia na świat jest upewnienie się, czy w przytułkach panują dobre warunki: który, z nim ma jeszcze prawo przywdziać strój męski, zbiera fundusze na pomoc dla jakichś wdów

i sierot: który krótko mówiąc, decyduje się na ryzyko życia tylko z pomocy zapewnianej przez Towarzystwo Wspólnych Ubezpieczeń obiecujące mu przyzwoity pogrzeb.

Jest rzeczą samo przez się zrozumiałą, że człowiek nie ma obowiązku się poświęcać wykorzenieniu jakiegokolwiek, nawet największego zła. Może się zająć innymi równie ważnymi sprawami, ale zobowiązany jest przynajmniej umyć od tego ręce i nie wspierać go w praktyce, skoro nie chce poświęcać mu uwagi. Jeżeli oddaję się swoim zajęciom i rozważaniom, muszę przynajmniej sprawdzić, czy nie robię tego siedząc innemu człowiekowi na karku. Muszą wpierw zleźć mu z karku, aby i on mógł oddać się swoim rozmyślaniom. Przytoczę tu przykład wielkiej, aczkolwiek tolerowanej niekonsekwencji. Otóż niektórzy mieszkańcy naszego miasta tak oto mówią: “Chciałbym dostać powołanie do wojska teraz, kiedy tłumią powstanie niewolników albo maszerują na Meksyk — przekonalibyście się, czy bym poszedł”. A jednak tacy właśnie ludzie dostarczyli środków zastępczych — albo bezpośrednio, to znaczy okazując swe posłuszeństwo, albo przynajmniej pośrednio, to znaczy oferując swoje pieniądze. Żołnierz, który odmawia służby w niesprawiedliwej wojnie, zdobywa poklask wśród tych, którzy nie odmawiają poparcia niesprawiedliwemu rządowi prowadzącemu ową wojnę, zdobywa poklask wśród tych, których postępowaniem i władzą gardzi, a ich samych lekceważy. Wygląda to wszystko tak, jak gdyby państwo w tak wielkim stopniu okazywało skruchę, że wynajęło kogoś, aby je biczował, gdy zgrzeszy, ale nie w tak wielkim stopniu, żeby choć przez chwilę przestało grzeszyć. Tedy w imię ładu i Rządu Obywatelskiego zmusza się nas w końcu do tego, abyśmy byli wierni własnej nikczemności i popierali ją wytrwale. Po pierwszym rumieńcu wstydu wywołanego grzechem przychodzi zobojętnienie i grzech z niemoralnego staje się jakby amoralny i nie całkiem do uniknięcia w tym życiu, jakie sobie urządziliśmy.

Najczęściej spotykany i rozpowszechniony grzech może ponieść klęskę z rąk najbardziej bezinteresownej cnoty. Ludzie szlachetni najłatwiej mogą sobie poradzić z drobnymi zarzutami, na jakie naraża się zwykle cnota patriotyzmu. Ci, którzy nie aprobują charakteru i przedsięwzięć rządu, a mimo wszystko są mu posłuszni i go popierają, należą bez wątpienia do jego najbardziej zaciętych popleczników i jakże często, do największych przeciwników reform. Niektórzy wzywają rząd do rozwiązania Unii i ignorowania rozkazów prezydenta. Dlaczego nie rozwiążą jej sami — unii między sobą a rządem — i nie odmówią wpłacenia do skarbu państwa wyznaczonej im sumy podatków? Czyż ich związki z rządem nie są takie same jak rządu z Unią? I czyż nie te same powody powstrzymały rząd od występowania przeciwko Unii, co powstrzymały ich samych od występowania przeciwko rządowi?

Jak człowiek może się czuć usatysfakcjonowany tylko tym, że cieszy cię jakąś opinią, i jak może ją aprobować? Czyż potrafi znaleźć w niej jakieś zadowolenie, jeśli sam uważa się za człowieka skrzywdzonego? Jeśli sąsiad wyłudzi od niego jednego dolara, nie poprzestaje zadowolony na tym, że wie o oszustwie, ani na mówieniu o nim, ani nawet na proszeniu sąsiada, aby oddał należne mu pieniądze, lecz natychmiast podejmuje skuteczne kroki mające na celu odzyskanie pełnej sumy i upewnienie się, że już nigdy więcej nie zostanie oszukany. Postępowanie według zasad, uświadomienie sobie, że może istnieć sprawiedliwość i kierowanie się nią, zmienia rzeczy i stosunki, posiada nade wszystko charakter rewolu-

cyjny i różni się całkowicie od wszystkiego, co dotychczas istniało. Nie tylko dzieli państwa i kościoły, lecz także i rodziny, ba, powoduje rozłam w jednostce, oddzielając w niej to, co szatańskie, od tego, co boskie.

Jak powinniśmy postępować w obliczu faktu, że istnieją niesprawiedliwe prawa: czy z zadowoleniem okazywać im posłuszeństwo, czy usiłować je zmienić i przestrzegać nowych, dopokąd zdołamy, czy też powinniśmy od razu pogwałcić niesprawiedliwe? Pod takimi rządami jak nasz ludzie na ogół uważają, że powinni czekać tak długo, aż uda im się wyperswadować większości, aby prawa zmienić. Myślę, że występując przeciwko nim, mogliby zmienić je tylko na jeszcze gorsze. Lecz to, że nowo ustanowione prawa są gorsze od poprzednich złych, jest winą samego rządu. On wpływa na to, że są gorsze. Dlaczego się opiera i nie chce zapewnić przeprowadzenia szybkich reform? Dlaczego nie dba o swoją mądrą mniejszość? Dlaczego lamentuje i stawia opór, zanim ktoś zacznie działać na jego szkodę? Dlaczego nie zachęca obywateli, aby pilnie obserwowali go i wytykali mu błędy, i dlaczego nie postępuje lepiej, aniżeli spodziewają się tego po nim obywatele? Dlaczego zawsze wieszka Chrystusa na krzyżu, rzuca kłutwę na Kopernika i Lutra, a Washingtona i Franklina ogłasza buntownikami?

Można by sądzić, że rozmyślne niepodporządkowanie się władzy rządowej w praktyce jest jedynym wykroczeniem, nad którym rząd się nie zastanawiał. Więcej — dlaczego nie wyznaczył za nie konkretnej, odpowiedniej i proporcjonalnej kary? Jeśli człowiek, który nie posiada żadnego majątku, raz odmówi zarobienia dziewięciu szylingów na rzecz państwa, wsadzają go do więzienia na okres nie określony przez żadne prawo, jakie znam, i zależny tylko od uznania tych, którzy tam go wsadzili, ale gdyby ukradł państwu dziewięćdziesiąt razy po dziewięć szylingów, szybko pozwolono by mu wyjść z powrotem na wolność.

Jeżeli niesprawiedliwość jest częścią niezbędnego tarcia maszyny rządowej, niech się trze i trze — może się zetrze na gładko, a maszyna z pewnością się rozleci. Jeśli niesprawiedliwość ma wyłącznie do swojej dyspozycji jakąś sprężynę, koło zapasowe, linę lub dźwig, wtedy można się pewnie zastanawiać, czy zmienione prawa nie będą gorsze od praw starych i złych. Skoro prawo ma taką naturę, że wymaga od człowieka, aby się stał narzędziem niesprawiedliwości wobec drugiego człowieka, wówczas, powiadam, należy prawo naruszać. Niech życie nasze będzie hamulcem zatrzymującym maszynę. W każdym razie obowiązkiem naszym jest się upewnić, czy nie spełniamy roli narzędzi niesprawiedliwości, którą potępiamy.

Nie znam sposobów naprawy zła przy pomocy podejmowanych przez państwo środków. Pochłaniają zbyt wiele czasu, a życie człowieka jest krótkie. Istnieje wiele innych interesujących mnie spraw. Przyszedłem na ten świat głównie nie po to, aby uczynić z niego dobre, nadające się do życia miejsce, lecz po to, aby żyć na nim, niezależnie od tego, czy jest dobry, czy zły. Człowiek nie może się zajmować wszystkim, może się zająć czymś jednym, a skoro nie może robić wszystkiego, nie musi też koniecznie robić czegoś złego. Nie uważam, że wnoszenie petycji do gubernatora albo Izby Prawodawczej leży bardziej w moim interesie aniżeli w ich interesie wnoszenie petycji do mnie, a jeśli oni nie zechcą wysłuchać moich prośb, co mam robić? Tutaj jednak państwo nie zapewnia żadnego rozwiązania, źródłem

zła bowiem jest jego Konstytucja. Może się wydać surowa, stanowcza i nieustępliwa, ale w istocie, która będzie wysoko ją ceniła albo jej się przysłuży, okaże największą uprzejmość i względy. Tak oto wygląda cała zmiana na lepsze, podobnie do narodzin i śmierci wstrząsających ciałem.

Nie waham się twierdzić, że ludzie mianujący się abolicjonistami powinni natychmiast przestać popierać rząd Massachusetts, zarówno osobiście, jak i finansowo, i nie czekać, aż uda im się zwyciężyć jednym głosem, czyli stworzyć jednoosobową większość, zanim podporządkują się prawu, które dzięki nim zatriumfuje. Myślę, że wystarczy im obecność Boga po ich stronie i że nie muszą czekać na inny decydujący głos. Nadto, każdy człowiek bardziej praworządny od swoich bliźnich już ma decydujący głos jednoosobowej większości.

Raz do roku — nie częściej — spotykam się bezpośrednio twarzą w twarz z obecnym rządem amerykańskim albo z jego przedstawicielem — rządem stanowym. Zjawia się w osobie poborcy podatków i jedyna to okoliczność, kiedy człowiek w takiej sytuacji musi się z nim spotkać. Mówi wtedy dobitnie: “Uznaj mnie”. I wówczas najprostszym, najbardziej skutecznym i, w obecnym stanie rzeczy, nieodzownym sposobem pokazania mu, jak niewiele mam dla niego sympatii i miłości, jest nie uznać go. Owym urzędnikiem i poborcą podatków jest akurat mój sąsiad i muszę mieć z nim do czynienia, mimo wszystko bowiem kłócę się z ludźmi, a nie z pergaminem. Przedstawicielem rządu został dobrowolnie. Skąd on ma wiedzieć, kim jest i co należy do jego obowiązków jako urzędnika państwowego albo człowieka, dopóki się nie zastanowi, czy powinien traktować mnie — swojego sąsiada, człowieka szanowanego — jako jednostkę prawomyślną, czy jako maniaka i burzyciela publicznego. Skąd może wiedzieć, czy jeśli nie przemówi do mnie gwałtownie i grubiańsko — czyli tak jak to zwykle robią urzędnicy — potrafi w inny sposób pokonać dystans, jaki się między nami, sąsiadami, w tej sytuacji wytwarza. Doskonale wiem, że gdyby w naszym stanie Massachusetts znalazło się tysiąc albo stu, albo dziesięciu ludzi, których nazwiska ogłoszono by publicznie — gdyby znalazło się choć dziesięciu uczciwych ludzi — ba, gdyby znalazł się choć jeden uczciwy człowiek, który dałby wolność swoim niewolnikom i wycofałby się w ten sposób z całej spółki, a zamknięto by go za to w więzieniu okręgowym, zniósłby tym samym niewolnictwo w całej Ameryce. Wystarczy bowiem zrobić pierwszy krok, aby rzecz raz dobrze zrobiona, pozostała taką na zawsze. My jednak wolimy, niestety, tylko rozprawić na ten temat, co zresztą nazywamy swoją misją. Dziesiątki gazet służy reformom, ale nie służy im żaden człowiek. Gdyby mój ceniony sąsiad, ambasador państwa, ten, który poświęcił swoje życie rozwiązaniu problemu praw człowieka na obradach Izby, nie był zagrożony więzieniem w Karolinie, ale siedział w więzieniu w Massachusetts, czyli w stanie, który aż się pali, aby obarczył swój bratni stan grzechem niewolnictwa — chociaż obecnie jedyną dostrzegalną podstawą niezgody, między nimi jest niegościnnosc okazywana przez Massachusetts — Izba Prawodawcza rozprawiałaby nad tym bezproduktywnie aż do następnej zimy.

W takim państwie, w którym rząd niesprawiedliwie więzi ludzi, jedynym miejscem odpowiednim dla sprawiedliwego człowieka jest też więzienie. Obecnie jedynym odpowiednim miejscem, a właściwie w ogóle jedynym miejscem, które Massachusetts zapewnia bardziej niezależnym i wytrwałym obywatelom, jest również więzienie. Ma ono na podsta-

wie ustawy wydanej przez państwo wyeliminować ich z życia państwowego i odgrodzić od jego spraw, ale przecież oni dzięki swoim zasadom, sami już się od nich odgrodzili. Tylko tam powinien szukać ich zbiegły niewolnik, więzień meksykański zwolniony warunkowo i Indianin — wszyscy, którzy przybywają aby błagać o bardziej sprawiedliwe traktowanie swoich narodów. Tam właśnie ich znajdzie, w tym miejscu odseparowanym, lecz dającym tym większe poczucie wolności i większy zaszczyt, w miejscu, w którym państwo umieszcza osoby nie będące jego zwolennikami, ale przeciwnikami — w tym jedynym budynku dającym godne schronienie człowiekowi wolnemu w naszym państwie systemu niewolniczego. Jeśli ktokolwiek z nich myśli, że przebywając tam traci swoje wpływy, że głos jego nie będzie docierał do uszu państwa, że w więziennych murach nie będzie już uważany za wroga, nie uświadamia sobie tego, o ile prawda silniejsza jest od fałszu, ani tego, że człowiek, który sam na własnej skórze doświadczył niesprawiedliwości, może walczyć z nią dużo wymowniej i skuteczniej. Należy oddać cały swój głos, a nie jedynie skrawek papieru, użyć całego swojego wpływu. Kiedy mniejszość dostosowuje się do większości, jest bezsilna: nie stanowi wtedy nawet mniejszości. Wówczas jednak, gdy się rzuca jak kłoda całym swoim ciężarem, nikt jej nie pokona. Kiedy państwo ma do wyboru: albo trzymać wszystkich sprawiedliwych w więzieniu, albo przerwać wojnę i znieść niewolnictwo, wiadomo, jakiego wyboru nie zawaha się dokonać. Gdyby tysiąc osób nie zapłaciło w tym roku podatków, nie popełniłoby tak krwawego gwałtu, jak wtedy, gdyby je zapłaciło ułatwiając państwu dopuszczanie się gwałtu i przelewu krwi niewinnych ludzi. Powyższe zdanie stanowi w zasadzie definicję bezkrwawej rewolucji, jeżeli przeprowadzenie jej jest w ogóle możliwe.

Kiedy poborca podatków albo jakiś inny urzędnik państwowy, pyta mnie, jak to zresztą już jeden zrobił: „Ale co ja mogę na to poradzić?” — odpowiadam na to: „Doprawdy, jeżeli chcesz coś poradzić — zrezygnuj z posady”. Kiedy obywatel odmawia posłuszeństwa, a urzędnik rezygnuje z posady, wówczas dokonuje się rewolucja. I choćby nawet połała się krew, to czyż nie leje się ona wtedy, gdy się zadaje ciosy świadomości? Przez ranę w niej wypływa prawdziwe człowieczeństwo i nieśmiertelność człowieka, który krwawi, dopokąd nie zawładnie nim wiekuista śmierć. Tą krew właśnie teraz się przelewa.

Rozpatrywałem powyżej przypadek uwięzienia przestępcy, a nie konfiskaty jego majątku — chociaż obie sytuacje wchodzą w rachubę — ponieważ ci, którzy domagają się najdoskonalszych praw i tym samym stanowią najbardziej niebezpieczną grupę dla skorumpowanego rządu, nie spędzają na ogół czasu na akumulowaniu dóbr. Państwo świadczy im stosunkowo małe usługi i nawet niski podatek okazuje się wygórowany, szczególnie wtedy, gdy zduszeni są zarobić na niego pracą własnych rąk. Gdyby się zdarzyło, że ktoś prowadziłby życie zupełnie nie posługując się pieniędzem, państwo wahałoby się domagać od niego należności. Lecz człowiek bogaty — by nie użyć jakiegoś ubliżającego porównania — zawsze zaprzeda się instytucji, dzięki której jest bogaty. Ujmując rzecz skrajnie — im więcej mamy pieniędzy, tym mniej w nas prawości, gdyż pieniądze wkraczają między człowieka a przedmioty i zdobywają je dla niego. Nadto zdobycie pieniędzy z pewnością nie jest wielką zasługą. Posiadając je nie trzeba odpowiadać na wiele pytań, na które w innym wypadku trzeba by było odpowiedzieć. Natomiast jedynym nowym pytaniem stawianym

przez pieniądze, jest pytanie trudne, ale zbyt proste: “jak je wydać?”. Tedy moralna postawa bogacza usuwa mu się spod stóp. Możliwość prowadzenia prawdziwego życia zmniejsza się proporcjonalnie do zwiększania się zasobów tak zwanych “środków”. Najlepsza rzecz, jaką może zrobić bogaty człowiek dla kultury swego wnętrza, to usiłować wprowadzić w życie zamiary z czasów, kiedy był ubogi. Oto jak odpowiedział Chrystus Herodianom na temat ich położenia: “Pokażcie mi pieniądź podatkowy. Przynieśli mu denara. On ich zapytał: Czyj jest ten obraz i napis? Odpowiedzieli: Cezara. Wówczas rzekł do nich: Oddajcie więc Cezarowi to, co do Cezara należy, a Bogu to, co do Boga należy. Gdy to usłyszeli, zdziwili się i zostawiwszy Go, odeszli”. Odeszli tak samo mądrzy, jak przedtem, jeśli idzie o to, co jest jednym, a co drugim, albowiem nie chcieli tego wiedzieć.

Rozmawiając ze swoimi najbardziej wolnymi bliźnimi, wyczuwam, że niezależnie od tego, co mówią na temat wielkości i powagi problemu i jak się martwią o spokój społeczeństwa, nade wszystko nie mogą się obyć bez opieki istniejącego rządu i boją się skutków, do których nieposłuszeństwo rządowi mogłoby doprowadzić ich majątki i rodziny. Ja osobiście nie chciałbym żyć w świadomości, że choć przez chwilę zdaję się na opiekę państwa. Jeśli jednak nie uznaję jego władzy, gdy przedstawi mi kwit podatkowy, odbierze mi majątek i doprowadzi go do ruiny nękając w ten sposób bez końca mnie i moje dzieci. To zaś daje się człowiekowi we znaki i nie pozwala żyć uczciwie i zarazem wygodnie w otaczającym świecie. Nie warto będzie gromadzić majątku, z pewnością bowiem znowu zostanie odebrany. Lepiej nająć się jako robotnik albo osiedlić na obcym czy bezpańskim gruncie i zbierać tylko małe plony, aby szybko je zjadać. Trzeba być samowystarczalnym i zawsze polegać na samym sobie. Należy, zakasawszy rękawy, zawsze być w pogotowiu i nie można się zajmować wieloma sprawami. Nawet w Turcji człowiek może się wzbogacić, jeśli będzie pod każdym względem dobrym obywatelem państwa tureckiego. Konfucjusz powiedział: “Jeżeli państwem rządzi zasada rozsądku, bieda i niedole są hańbiące; jeśli państwem nie rządzi zasada rozsądku, hańbą są bogactwa i honory”. Nie — dopokąd pragnę, aby Massachusetts roztaczało nade mną opiekę w jakimś odległym południowym porcie, w którym coś zagraża mojej wolności, albo też dopokąd spokojnie zajmuję się w swojej rodzinnej okolicy wyłącznie gromadzeniem majątku, mogę sobie pozwolić na to, aby odmówić posłuszeństwa stanowi Massachusetts i nie uznawać jego praw do mojej własności i do mojego życia. Mniej kosztuje mnie, pod każdym względem, narażanie się na karę za nieposłuszeństwo rządowi, aniżeli kosztowałoby mnie posłuszeństwo. Gdybym je okazał, czułbym się tak, jak gdybym stracił na wartości.

Z państwem zetknąłem się kilka lat temu, kiedy w imieniu Kościoła nakazało mi zapłacić pewną sumę na pomoc dla kaznodziei, którego kazań słuchał mój ojciec, ja zaś nigdy. “Zapłać — powiedziano — w przeciwnym bowiem razie pójdiesz do więzienia”. Zapłaty odmówiłem. Okazało się jednak, że niestety, ktoś inny zgłosił gotowość uiszczenia tej kwoty. Nie zrozumiałem, dlaczego należy opodatkować nauczyciela na rzecz księdza, a nie księdza na rzecz nauczyciela: nie byłem wówczas nauczycielem na państwowej pensji, lecz utrzymywałem się z dobrowolnych składek. Nie rozumiałem, dlaczego gimnazjum nie miało by przedstawiać zestawień podatkowych państwu, aby wspierało jego potrzeby, podobnie jak potrzeby Kościoła. Wszelako na prośbę radnego poniżyłem się do tego stopnia, że napisa-

łem takie mniej więcej oświadczenie: “Oświadczam wszem i wobec, że ja, Henry Thoreau, nie życzę sobie, aby uważano mnie za członka jakiejś kongregacji, do której nigdy nie wstępowałem. Wręczyłem je urzędnikowi rady miejskiej, a on przechowuje je do dnia dzisiejszego. Dowiedziawszy się naówczas, że nie chcę, aby uważano mnie za członka tego Kościoła, państwo przestało mnie nękać podobnymi żądaniem, chociaż twierdziło, że musi się trzymać swoich pierwotnych założeń. Gdybym tylko wiedział, jak się nazywają, wypisałbym się skrupulatnie ze wszystkich stowarzyszeń, do których nigdy nie wstępowałem. Nie wiem jednak, gdzie można znaleźć pełną ich listę.

Od sześciu lat nie płacę podatku jako wyborca. Z tego powodu wsadzono mnie raz do więzienia, w którym spędziłem jedną noc. Kiedy tak stałem przyglądając się solidnym kamiennym muirom grubym na dwie lub trzy stopy, drewnianym drzwiom wzmocnionym żelazem i grubym na stopę oraz żelaznym kratom. Sączące się światło skłoniło mnie do rozmyślań o głupocie tej instytucji, która zamykając mnie tutaj, traktowała mnie tak, jakbym był tylko samym ciałem, krwią i kośćmi. Ciekaw byłem, czy państwo właśnie doszło wreszcie do przekonania, że to najlepszy sposób, w jaki może mnie wykorzystać, że uprzytomniło sobie, iż nigdy przedtem nie pomyślało, aby jakoś mną się posłużyć. Zrozumiałem, że niezależnie od kamiennego muru między mną a innymi obywatelami, istniał też inny mur, przez który jeszcze trudniej było im przeskoczyć albo się przedrzeć, nie uważali się bowiem, za tak wolnych jak ja. Ani przez chwilę nie czułem się więźniem, mury zatem stały niby wielkie marnotrawstwo kamieni i cementu. Czułem się tak, jak gdybym jako jedyny mieszkaniiec tego miasta zapłacił podatek. Nie wiedzieli, oczywiście, jak mają mnie traktować i postępowali jak ludzie niewychowani. Zarówno wtedy, gdy mi grozili, jak i wtedy, gdy spokojnie się do mnie zwracali, popełniali gafy, ponieważ w ich pojęciu jedynym moim pragnieniem było się znaleźć po drugiej stronie tego kamiennego muru. Mogłem się tylko uśmiechać patrząc, jak starannie zamykają drzwi, kiedy ja spokojnie sobie siedziałem i rozmyślałem, moje myśli zaś swobodnie goniły za nimi. Tylko one były naprawdę niebezpieczne. Skoro nie mogli dosięgnąć mnie, postanowili ukarać moje ciało — tak jak chłopcy, którzy nie mogąc przydybać kogoś, do kogo czują urazę, obrzucają obelgami jego psa. Zrozumiałem, że państwo to głupkowata instytucja, bojaźliwa niczym samotna kobieta ze swoimi srebrnymi łyżkami, i że nie potrafi odróżnić przyjaciół od wrogów. Straciłem zatem dla niego resztki szacunku i tylko się nad nim litowałem.

Tedy państwo nigdy celowo nie staje twarzą w twarz z ludzkim umysłem ani z intelektem, ani z moralnością — ale tylko z ciałem i ze zmysłami. Nie jest uzbrojone w rozum ani w uczciwość wyższego rzędu, lecz w większą siłę fizyczną. Nie urodziłem się po to, aby ktoś mnie zniewalał. Będę oddychał tak, jak mnie się podoba. Zobaczymy, kto jest silniejszy. Jaką siłę ma tłum? Tylko ci mogą mnie niewolić, którzy posłuszni są prawom wyższym aniżeli respektowane przeze mnie. Oni skłaniają mnie, abym się stał podobny do nich. Nie słyszę o ludziach zmuszanych do życia w taki a nie inny sposób przez masy innych ludzi. Cóż to byłoby za życie? Kiedy stoję przed rządem, który do mnie mówi: „Pieniądze albo życie”, dlaczego miałbym mu pośpiesznie dawać pieniądze? Może ma poważne kłopoty finansowe i nie wie, jak się z nimi uporać. Ja mu nie pomogę. Sam musi sobie radzić, podobnie jak ja. Nie warto się nad nim rozczulać. Nie ja odpowiadam za pomyślne działanie

społecznej maszyny. Nie jestem synem inżyniera. Wiem, że kiedy żołądź i kasztan upadną obok siebie, żaden z nich nie leży nieruchomo i nie ustępuje miejsca drugiemu, lecz oba zachowują się zgodnie ze swoimi własnymi prawami: puszczają pąki, rosną i najpiękniej rozkwitają, aż, być może, jeden z nich stłamsi cieniem i zniszczy drugiego. Jeżeli roślina nie może żyć zgodnie ze swoją naturą, umiera, i podobnie dzieje się z człowiekiem.

Noc w więzieniu była dla mnie czymś nowym i dość interesującym. Kiedy wszedłem, więźniowie, ubrani tylko w spodnie i koszule, miło sobie gawędzili i siedząc na progu upajali się wieczornym powietrzem. Nagle jednak strażnik rozkazał: „No, chłopcy, chodźcie — czas zamykać”. Rozeszli się, a ja słyszałem stukot ich kroków, gdy powracali do pustych cel. Strażnik przedstawił mi mojego towarzysza, jako „pierwszorzędnego i sprytnego jego- mością”. Ów, kiedy zaryglowano drzwi, pokazał mi, gdzie mam powiesić kapelusz i opowiedział, jak sobie tutaj radzi. Cele bielono raz na miesiąc i nasza wyglądała niewątpliwie jak najczystsze, najprościej umeblowane i prawdopodobnie najporządniejsze pomieszczenie w całym mieście. Chciał naturalnie wiedzieć, skąd pochodzę i dlaczego się tutaj znalazłem, a wyjaśnwszy mu, zrewanżowałem się podobnym pytaniem, albowiem brałem go, oczywiście, za uczciwego człowieka i przypuszczam, że zgodnie z porządkiem tego świata, wcale nie byłem w błędzie. “Dlaczego — zastanawiał się — oskarżają mnie o to, że podpaliłem stodołę, skoro naprawdę tego nie zrobiłem?”. Z jego opowieści zdołałem wywnioskować, że zapewne poszedł pijany spać do stodoły, zapalił fajkę i stodoła spłonęła. Wprawdzie miał opinię człowieka sprytnego, lecz siedział już trzy miesiące czekając na rozprawę i będzie musiał czekać drugie tyle. Doskonale się jednak tutaj zadomowił i jest zadowolony, ponieważ ma darmowe utrzymanie i dobrze go traktują.

Stał przy jednym oknie, ja zaś przy drugim. Zrozumiałem wtedy, że jeśli siedzi się tu długo, głównym zajęciem jest wyglądanie przez okno. Wkrótce odczytałem wszystkie sentencje wyryte na framugach, zbadałem, któredy zbiegli poprzedni więźniowie, obejrzałem ślad po przepiłowanej niegdyś kracie i wysłuchałem opowieści o różnych mieszkańcach tej celi.

Okazało się, że nawet to miejsce ma swoją historię i krążyły po nim plotki, nigdy jednak nie wychodziły poza mury więzienia. Jest to prawdopodobnie jedyny budynek w mieście, w którym układa się wiersze drukowane następnie w formie obiegowej, ale nigdzie nie publikowane. Mój towarzysz pokazał mi całkiem długą listę strof ułożonych przez jakichś młodych ludzi, przyłapanych na próbie ucieczki. Zemścili się potem za udaremnienie ich planów odśpiewując owe wiersze na głos.

Wyciągnąłem ze swojego towarzysza, co tylko mogłem, obawiałem się bowiem, że już nigdy więcej go nie zobaczę, wreszcie jednak wskazał mi moje łóżko i odszedł, aby zdmuchnąć lampę.

Leżąc tam przez całą noc czułem się tak, jak gdybym odbywał podróż po jakimś odległym kraju, takim, jakiego nigdy nie spodziewałem się ujrzeć. Wydawało mi się, że nigdy przedtem nie słyszałem, jak zegar na wieży wybija godziny, i nowością też dla mnie są wieczorne odgłosy miasteczka. Spaliśmy przy otwartych oknach zabezpieczonych kratami. Ujrzałem rodzinne miasteczko w blasku średniowiecznego światła — Concord zamieniło się w strumień Renu, a przed oczyma przepływały mi obrazy rycerzy i zamków. Z ulicy do-

latywały głosy starych mieszczan. Byłem przymusowym słuchaczem odgłosów, wydarzeń i rozmów w kuchni przyległego miejskiego szynku, co dostarczało mi zupełnie nowych i rzadkich przeżyć. Szynk stanowi jedną ze specyficznych instytucji miasteczka, które jest przecież stolicą okręgu. Zacząłem pojmować, czym mają zajęte głowy jego mieszkańcy. Rano śniadanie otrzymaliśmy przez otwór w drzwiach. Podano je na całych, podłużnych, blaszanych tackach dopasowanych do wielkości otworu. Miały wgłębienia na kubek czekolady, chleb razowy i żelazną łyżkę. Kiedy zawołano, abyśmy zwrócili naczynia okazałem się żółtodziobem, chciałem bowiem oddać też chleb, którego nie zjadłem, ale mój towarzysz chwycił go radząc, abym zostawił sobie ten kawałek na obiad albo kolację. Niebawem mojego towarzysza wzięto do pracy przy sianokosach na pobliskim polu, dokąd to chodził co rano i wracał dopiero po południu. życzył mi przyjemnego dnia, dodając, że wątpi, aby miał mnie tu jeszcze zastać.

Kiedy wyszedłem z więzienia — na skutek tego, że ktoś się wmieszał i zapłacił za mnie ów podatek — nie zauważyłem, żeby ogólnie biorąc, zaszły jakieś zmiany, dostrzegalne dla kogoś, kogo zamknięto by w młodości, a wypuszczono jako ledwie trzymającego się na nogach siwego starca. Coś się wszelako zmieniło — innymi oczyma patrzyłem na otaczający mnie świat: na miasteczko, na cały stan i na kraj. Zmiana ta była większa od jakiegokolwiek innej, jaka mogłaby zajść w tak krótkim czasie. Państwo, w którym żyłem, pokazało mi się o wiele wyraźniej. Przekonałem się, w jakim stopniu można ufać otaczającym mnie ludziom, na ile są dobrymi sąsiadami i przyjaciółmi, że na przyjaźń ich można liczyć tylko od święta, że prawość nie jest ich celem, że w porównaniu ze mną, stanowią odrębną rasę z racji swoich uprzedzeń i przesądów, zgoła jak Chińczycy i Malaje, że poświęcając się dla ludzkości nie podejmują żadnego ryzyka, nawet jeśli to ryzyko dotyczyło ich własnych majątków, że mimo wszystko nie są tacy szlachetni i złodzieja traktują podobnie, jak on z nimi się obchodzi, że dzięki zachowaniu pewnych zewnętrznych pozorów, dzięki kilku modlitwom i przemierzaniu od czasu do czasu pewnej prostej, acz bezużytecznej drogi, mają nadzieję zbawić swoje dusze. Być może surowo osądzam swoich sąsiadów, ale w moim pojęciu wielu z nich nie uświadamia sobie, że we własnym miasteczku mają taką instytucję, jak więzienie.

Niegdyś, kiedy biedny dłużnik wychodził z więzienia, mieszkańcy naszego miasteczka mieli zwyczaj pozdrawiać go zasłaniając twarz skrzyżowanymi palcami, które miały imitować kraty więziennego okna. I pytali wtedy: "Jak się masz?". Moi jednak sąsiedzi powitali mnie inaczej — najpierw spojrzeli na mnie, potem zaś na siebie nawzajem tak, jak gdybym wrócił z dalekiej podróży. Wsadzono mnie do więzienia w chwili, gdy szedłem do szewca, aby odebrać zreperowany but. Kiedy nazajutrz wypuszczono mnie, załatwiłem ostatecznie sprawę i założywszy zreperowany but, przyłączyłem się do towarzystwa, które szło na jagody. Cała grupa z niecierpliwością czekała na mnie, abym im przewodził. W ciągu pół godziny — trzeba bowiem było jeszcze zaprzętać konia — znalazłem się na środku polanki porosłej jagodami, położonej na jednym z naszych najwyższych wzgórz dwie mile od miasteczka. I wtedy państwo zniknęło mi z pola widzenia.

Oto cała historia "Mojego więzienia".

Nigdy nie odmówiłem zapłacenia podatku drogowego, ponieważ w takim samym stopniu pragnę być dobrym sąsiadem, jak i złym obywatelem. Co się zaś tyczy pomocy dla szkół, spełniam teraz swoją powinność nauczając rodaków. Nie z tego powodu odmawiam płacenia podatków, że na liście podatkowej znajduje się jakaś nie odpowiadająca mi pozycja. Pragnę po prostu odmówić posłuszeństwa państwu, skutecznie się wycofać i trzymać się z dala od niego. Nie obchodzi mnie śledzenie kursu mojego dolara, nawet gdyby to było w ogóle możliwe, albowiem za dolary kupuje się człowieka albo muszkiet, którym można go zabić — dolar jest niewinny. Interesuje mnie jednak śledzenie skutków mojego nieposłuszeństwa. W istocie wypowiadam po cichu, na swój własny sposób, wojnę państwu, co nie przeszkadza, że, jak to zwykle bywa w podobnych wypadkach, nadal będę ciągnął z niego korzyści.

Jeśli nakładane na mnie podatki płacą inni, albowiem darzą państwo sympatią, robią tylko to, co zrobili już sami dla siebie, czy raczej są współtwórcami niesprawiedliwości w większym stopniu, aniżeli państwo tego wymaga. Jeżeli płacą ten podatek, ponieważ mylnie pojmują interes danego podatnika i chcą ocalić jego majątek albo zapobiec wsadzeniu go do więzienia, postępują tak dlatego, że nie zastanowili się głęboko, w jakim stopniu pozwolili własnym uczuciom wtrącić się w problem dobra społecznego.

Takie obecnie zajmuję stanowisko. Nie można jednak zbyt sztywno się trzymać swoich opinii, żeby nasze działanie nie wy pływało z zawziętości i niewłaściwego spojrzenia na zapatrywania innych. Musimy zrozumieć, że powinniśmy robić tylko to, co do nas należy i jest w danej chwili najodpowiedniejsze.

Niekiedy tak sobie myślę: „Wszak ludzie tutejsi mają dobre zamiary, są tylko ignorantami. Postępowaliby lepiej, gdyby wiedzieli jak: dlaczego miałbyś zadawać ból bliźnim każąc im traktować siebie niezgodnie z ich nastawieniem?”. Potem jednak nasuwa mi się, że: „To nie powód, abym musiał postępować tak, jak oni czy pozwolić, aby cierpieli większe męki innego rodzaju”. Czasem zaś tak znów mówię do siebie: „Kiedy miliony spokojnych rodaków, nie powodowanych złą wolą ani osobistymi pobudkami, domagają się od ciebie tylko kilku szylingów, a zgodnie z ich konstytucją nie istnieje możliwość zlikwidowania albo zmiany ich obecnych żądań, ty zaś z kolei nie masz możliwości odwołania się do milionów innych ludzi — dlaczego masz walczyć z tą przytłaczającą ślepą siłą? Nie opierasz się z taką zawziętością zimnu ani głodowi, wiatrom ani falom, poddajesz się spokojnie tysiącom podobnych przeciwności. Nie wkładasz głowy w ogień. Owa zaś siła wydaje mi się tylko ślepa, lecz częściowo także ludzka. Zgodnie z tym twierdzą, że z milionami rodaków łączą mnie podobne związki, jak z wieloma innymi milionami ludzi, a nie tylko milionami zwierząt i martwych przedmiotów, dochodzę zatem do przekonania, że to odwołanie się jest możliwe. Po pierwsze, natychmiast — od nich do ich Stwórcy, po drugie zaś — od nich do nich samych. Natomiast jeśli celowo wsadzę głowę w ogień, nie mogę odwołać się do ognia ani jego Stwórcy, lecz wyłącznie siebie samego muszę winić za ten postępek. Gdybym mógł siebie przekonać, że mam jakiekolwiek prawo być zadowolony z ludzi takich, jakimi są, i zgodnie z tym ich traktować, a nie powodować się własnymi wymaganiami i oczekiwaniami, jakie i oni, i ja powinniśmy spełniać, wówczas jako dobry muzułmanin i fatalista, winienem usiłować się zadowolić istniejącym porządkiem rzeczy i stwierdzić, że

taka jest wola Boża. Pomijając zaś wszystko inne, między przeciwstawieniem się tej właśnie sile, a przeciwstawieniem się czysto ślepyim siłom albo siłom przyrody istnieje taka różnica, że tej mogę z pewnym skutkiem stawić opór, podczas gdy nie mogę jak Orfeusz oczekiwać, że zmienię naturę skał, drzew i zwierząt.

Nie chcę się skłócić z żadnym człowiekiem ani z żadnym narodem. Nie chcę rozdawać włosów na czworo, dokonywać drobnych zróżnicowań ani uważać siebie za lepszego od swoich bliźnich. Myślę, że raczej szukam bodaj pretekstu, aby się podporządkować prawom tego kraju. Aż nazbyt chętnie bym to uczynił. Istotnie, mam powody, aby się o to podejrzewać. Co roku, kiedy zjawia się poborca podatków, odkrywam, że jestem gotów zrewidować ustawy i stanowisko rządu federalnego i stanowego oraz nastawienie narodu tylko po to, aby znaleźć pretekst i we wszystkim się podporządkować.

Trzeba nam kraj miłować jako i rodziców,
A gdy miłości naszej i pilności
Czci kiedyś odmówimy, trzeba będzie pamiętać
O rezultatach i pouczyć duszę
W kwestii sumienia i religii, Nie żądy władzy lub korzyści.

Wierzę, że wkrótce państwo będzie mogło przejąć z moich rąk wszelkie działania w tym kierunku, a wtedy nie będę większym patriotą aniżeli moi rodacy. Z przeciętnego punktu widzenia Konstytucja wraz ze wszystkimi swoimi niedociągnięciami jest bardzo dobra, prawo i sądy zasługują na szacunek, i nawet to państwo i ten rząd amerykański są pod wieloma względami godne szacunku i niezwykle, za co, sądząc z wielu wypowiedzi, ludzie są im wdzięczni. Mierzone wszelako trochę wyższą miarą, są takie, jak je opisałem. Przykładając zaś do nich jeszcze wyższą miarę i najwyższą — kto potrafi powiedzieć, jakie one w istocie są, albo kto uważa, że w ogóle warto je oceniać lub o nich myśleć?

Rząd jednak niewiele mnie obchodzi i jak najmniej będę nim sobie zaprzętał głowę. Tylko w nielicznych chwilach, nawet na tym świecie żyję godząc się na poddaństwo jakiegoś rządowi. Jeśli człowiekowi brakuje rozumu, fantazji i wyobraźni, czyli tego, co nigdy się nie wydaje odpowiednie dla niego na dłuższą metę, nierozumni władcy albo reformatorzy nie są w stanie mu poważnie zaszkodzić.

Wiem, że większość ludzi myśli inaczej niż ja, ale najmniej podobają mi się ci, którzy z racji zawodu życie swoje poświęcają badaniom takich i podobnych problemów. Mężowie stanu i ustawodawcy solidaryzując się całkowicie z instytucją nigdy nie dostrzegają szczegółów jej obnażonej postaci. Mówią, że należy wstrząsnąć społeczeństwem, ale poza nim nie mają schronienia. Może i są ludźmi o pewnym doświadczeniu i wnikliwości, autoremami pomysłowych niewątpliwie i nawet pożytecznych systemów, i szczerze im za to dziękujemy. Jednakże zrodzone w ich umysłach teorie i ich użyteczność nie wykraczają poza pewne, niezbyt obszerne ramy. Mają zwyczaj zapominać o tym, że światem nie rządzi polityka i zasada wygodnego kompromisu. Webster nigdy nie poddaje rewizji postanowień rządowych, dlatego też jego opinia nie może być miarodajna. Słowa jego głoszą mądrość zdaniem tych ustawodawców, którzy się nie zastanawiają nad potrzebą zasadniczych reform

dotyczących obecnego rządu. Wszelako myśliciele oraz ci, którzy wprowadzają ustawy mające obowiązywać zawsze, uważają, że Webster nie ma o niczym pojęcia. Wiem i o takich, którzy spokojnie i mądrze rozważywszy temat reform ujawniliby niebawem, jakże ograniczane są możliwości i chłonność umysłu. Jednakże w porównaniu z tanimi obietnicami reformatorów i jeszcze mniej wartymi maksymami i elokwencją ogółu polityków, słowa jego są niemal jedynymi rozsądnymi i wartościowymi. Dlatego też dzięki składamy Niebiosom, że go nam zesłały. Zawsze przejawia względną gorliwość, oryginalność i przede wszystkim praktyczność. O wartości jego nie stanowi wszelako mądrość, lecz rozważa. Prawda głoszona przez prawnika nie jest prawdą, ale konsekwentnym wywodem albo dogodnym wybiciem. Wprawdzie zawsze istnieje harmonia i głównym jej przeznaczeniem nie jest wykazywanie, że istnieje sprawiedliwość, która może pozostawać w zgodzie z bezprawiem. Webster zasłużył na nadany mu przydomek obrońcy Konstytucji. Nie zadaje żadnych ciosów, poza obronnymi. Nie jest przywódcą, ale uczniem. Przywódcy jego to ludzie 1787 roku. „Nigdy nie podejmowałem prób — twierdzi — nigdy do nich nie zachęcałem ani nie zamierzałem popierać prób zakłócania pierwotnie wprowadzonego porządku, dzięki któremu poszczególne stany przystąpiły do Unii. — Wszelako mając na myśli usankcjonowanie niewolnictwa przez Konstytucję, tak mówi: — Skoro było częścią pierwotnego porozumienia — powinno dalej obowiązywać”. Mimo szczególnie wnikliwego, sprawnego umysłu nie potrafi rozpatrywać faktu w oderwaniu od jego politycznych związków i spojrzeć na ów fakt jak na problem, z którym jedynie intelekt potrafi się rozprawić. Jaką, na przykład, korzyść czerpie obecnie z niewolnictwa człowiek pracy tutaj w Ameryce? Naraża się tylko albo jest zmuszony aby pod pozorem mówienia prawdy i wyrażania własnych poglądów dać w końcu mniej więcej taką dyktowaną rozpaczą odpowiedź (a jakież nowy i niezwykły kodeks społecznych obowiązków mogłaby ona zawierać)? “Sposób — mówi taki ktoś — w jaki rządy tych stanów, w których istnieje niewolnictwo, mają kwestię niewolnictwa rozwiązywać, zależy od nich samych, od ich odpowiedzialności wobec wyborców, wobec ogółu praw własności, ludzkości, sprawiedliwości i Boga. Związki powstałe gdzie indziej na gruncie humanitarnym, czy też innym, nie mają z tym nic wspólnego. Nigdy nie popierałem ich ani nie będą popierał”.

Ci, którzy nie znają mniej skalanych źródeł prawdy, którzy nie zadali sobie trudu, aby pójść śladem jej strumienia, trzymają się, i to mądrze, Biblii i Konstytucji oraz piją zdrowie prawdy wychylają kielichy z pokorą i czcią. Natomiast ci, którzy obserwują, jak prawda przesącza się strumieniem do jakiegoś jeziora czy stawu, zbroją się na powrót w miecze i dalej odbywają pielgrzymkę do jej źródeł.

W Ameryce nie zjawił się jeszcze żaden człowiek z talentem ustawodawczym. Tacy ludzie są w ogóle rzadkością w historii świata. Istnieją oratorzy, politycy i ludzie elokwentni, liczy się ich na tysiące, ale nie stworzył jeszcze ust taki mówca, który byłby w stanie rozwiązać bardzo dokuczliwe bieżące problemy. Kochamy krasomówstwo dla samego krasomówstwa, a nie dla prawdy, którą mogłoby wyrazić, ani nie dla bohaterstwa, które mogłoby zainspirować. Nasi ustawodawcy jeszcze nie pojęli, że wartość wolnego handlu, wolności, uczciwości wobec narodu oraz jedności jest względna. Nie są dostatecznie genialni ani utalentowani, aby rozwiązać stosunkowo proste problemy opodatkowania finansów, handlu,

przemysłu i rolnictwa. Gdyby pozostawiono nas wyłącznie na łasce gadatliwości i rozsądku ustawodawców w Kongresie i gdyby odpowiednie doświadczenie i skuteczne skargi ludności nie stanowiły przeciwwagi dla tej gadatliwości i rozsądku, Ameryka nie zdołałaby długo utrzymać swojej pozycji wśród narodów. “Nowy Testament” pisze się od tysiąca ośmiuset lat — choć może nie mam prawa tak mówić — czy jednak istnieje gdzieś ustawodawca na tyle mądry i doświadczony, że potrafiłby skorzystać ze światła, które “Nowy Testament” rzuca na naukę ustawodawstwa?

Władza rządu, nawet takiego, jakiemu mam ochotę się podporządkować albowiem z radością będę posłuszny tym, którzy i wiedzą, i umieją postępować lepiej aniżeli ja, a pod wieloma względami nawet tym, którzy ani nie wiedzą, ani nie umieją postępować tak dobrze jak ja — jest ciągle jeszcze niedoskonała. Aby była zupełnie sprawiedliwa, musi ją usankcjonować i popierać podległy jej obywatel. Nie mogę posiadać nieograniczonego prawa do swojej osoby i swojego majątku, mogę mieć tylko takie prawo, jakie sam uznaję. Przejście od monarchii absolutnej do ograniczonej, a od ograniczonej monarchii do demokracji jest postępowaniem w kierunku uzyskania prawdziwego szacunku dla jednostki. Nawet chiński filozof był na tyle mądry, że uważał jednostkę za podstawę imperium. Czy taka demokracja, jaką znamy, jest ostatnim ulepszeniem możliwym do wprowadzenia w rządzie? Czy nie można zrobić następnego kroku w kierunku uznania i ustalenia praw człowieka? Dopóty nie powstanie naprawdę walne i oświecone państwo, dopóki państwo nie uzna jednostki za mocniejszą od siebie i niezależną siłę, z której wywodzi się cała jego własna siła i władza, oraz dopóki nie będzie odpowiednio tej jednostki traktowało. Z lubością wyobrażam sobie, że powstanie wreszcie państwo, które byłoby stać na sprawiedliwość wobec wszystkich ludzi i na traktowanie jednostki z szacunkiem należnym bliźniemu: państwo takie nie uważałoby, że spokój zakłócają mu nawet nieliczni żyjący na uboczu, nie wmieszani w jego sprawy ludzie, którzy nie będąc jego stronnikami, wypełnialiby jednak wszystkie swoje obowiązki wobec bliźnich i rodaków. Państwo, które zrodziłoby ten rodzaj owocu i pogodziłoby się z jego odpadnięciem w chwili dojrzenia, utorowałoby drogę dla jeszcze doskonalszego i wspanialszego państwa w mojej wyobraźni, też jeszcze nigdzie nie powstałego

Anarcho-Biblioteka
Dobry pieróg to wywrotowy pieróg



Henry David Thoreau
Obywatelskie nieposłuszeństwo
1849

pl.anarchistlibraries.net